

ALEKSANDRA ŻŁOTOWICZ

Szkoła Podstawowa im. Henryka Sienkiewicza w Bobolicach

*Człowiek rodzi się nie sobie, lecz dla swojej ojczyzny.*

Andrzej Frycz-Modrzewski

Gdy dowiedziałam się o konkursie na pamiątkę rodzinną, z którą wiąże się ciekawa historia, od razu pomyślałam o moim prapradziadku po mieczu – Zbigniewie Frąckowiaku. A dlaczego właśnie o nim? A to dlatego, że moja babcia Barbara Żłotowicz (ur.1956 r.) z domu Frąckowiak, będąc dokładnie w moim wieku, przeprowadziła wywiad ze swoim dziadkiem, a moim prapradziadkiem. Działo się to w roku 1969. Babcia Barbara, jako uczennica, otrzymała zadanie z historii w 24. rocznicę zakończenia II wojny światowej, które wiązało się z rodzinnymi wspomnieniami tego tragicznego dla Polaków okresu w dziejach narodu. Babcia nagrywała wywiad na dawny magnetofon szpulowy. Ciocia Marysia (córka prapradziadka Zbigniewa) wiele lat później napisała słowa i muzykę do piosenki, którą zaśpiewała i dołączyła do nagranego wywiadu. Ciocia w latach 1965–1975 śpiewała w zespołach, z którymi nagrywała utwory na magnetofon. Brat babci Stasi (żony prapradziadka Zbigniewa) – wujek Leon, był zakonnikiem Zmartwychwstańcem. Jako misjonarz wyjechał w latach 60. ubiegłego wieku do Brazylii. Wówczas rodzina nagrywała listy na szpulach magnetofonowych i wysyłała je do wujka. Stare szpule po śmierci dziadków babci Barbary Żłotowicz, ciocia Marysia przegrała na płyty CD i w taki oto sposób nagranie wywiadu z prapradziadkiem przetrwało do dziś i jest przechowywane w naszej rodzinie jako bezcenna pamiątka. Na okładce płyty widnieje zdjęcie dzieci Zbigniewa Frąckowiaka, od lewej: Wojciech, Leona, Małgorzata, Barbara i Maria.



Właśnie to nagranie wydało mi się godne uwagi, wyjątkowe i nietypowe. To jest niesamowite, że po tylu latach zachowało się w naszej rodzinie. Dla mnie najbardziej fascynujące jest to, że mogę usłyszeć głos swojego prapradziadka, jego wojenną historię oraz powojenne losy rodziny. Poza jego zdjęciem ślubnym, w mundurze ułańskim oraz z rodziną mam jeszcze to nagranie. Wiem, jak wyglądał i mogę posłuchać jego głosu, jakbym go znała. To magiczne i niezwykle uczucie. Niestety wiele pamiątek rodzinnych, w tym albumów spłonęło w pożarze domu w późniejszych latach.

Mój prapradziadek Zbigniew Frąckowiak urodził się 14 lutego 1908 roku w Poznaniu. Wykształcony na złotnika pracował w firmie złotniczo-jubilerskiej „KRUK” w Poznaniu. Kilka dni przed wybuchem II wojny światowej prapradziadek Zbigniew Frąckowiak rozkazem został zmobilizowany i musiał stawić się do Stanisławowa za Lwowem. Tam zetknął się z kolegami ze Szkoły Podoficerskiej, którą ukończył w 15 Pułku Ułanów Wielkopolskich. 1 września 1939 roku wybuchła II wojna światowa.

Prapradziadek, gdy dotarł do Stanisławowa, dostał nakaz stworzenia nowego, zapasowego, 6 Pułku Ułanów Krechowieckich. Żołnierze zostali bardzo dobrze umundurowani oraz uzbrojeni, lecz nie posiadali koni. Wobec tego konie rekwirowali w okolicznych wsiach i lasach, gdyż tamtejsza ludność ukraińska chowała je w ostępach leśnych, żeby nie dać ich polskiemu wojsku. Ułani ruszyli na łowy w lasy i do okolicznych wsi. Po zdobyciu koni przemieszczano je do koszar w Stanisławowie, a następnie ze względu na ich dzikość były ujeżdżane. Po wstępnej fazie przygotowań pułk został uznany za gotowy do walki.

Kiedy nadszedł dzień wymarszu, żołnierze zamiast na zachód, posuwali się na południe, co wzbudziło ich zdziwienie. Podczas marszu nikt z nich nie wiedział o walkach Polaków toczonych z okupantem hitlerowskim w kampanii wrześniowej. Dopiero pod granicą węgierską, na skutek licznie zadawanych pytań, ułani dowiedzieli się od zwierzchników, że Polska nie istnieje. Był to dla nich ogromny cios. W plutonie prapradziadka 80% żołnierzy stanowili Ukraińcy, którzy stopniowo umykali, dezertowali, zabierając całe wyposażenie. Jednocześnie Ukraińcy przeszkadzali ułanom przedostać się na Węgry, stąd Polacy musieli staczać z nimi regularne boje. Droga ku wolności wiodła bocznymi szlakami, poprzez mosty, przełęcze, koryta górskich rzek, nad przepaściami.

Najtragiczniejszym momentem dla prapradziadka była chwila przekraczania granicy. Stali tam polscy oficerowie sztabowi oraz Węgrzy. Żołnierze węgierscy częstowali ułanów zupą, której z żalu Polacy nie mogli przełknąć. Pękało im serce, że Polska już nie istniała. Kilkunastu ułanów, w tym mój prapradziadek, ruszyło w powrotną drogę do kraju, bo chcieli walczyć za ojczyznę. Po kilkunastu kilometrach spotkali ostatnie wycofujące się z Polski oddziały żołnierzy i dowiedzieli się, że powinni zawrócić na Węgry, gdyż Ukraińcy bezlitośnie mordują Polaków. Nie chcieli w to wierzyć. Dopiero gdy zobaczyli znanego im ułana wiszącego na drzewie z poderżniętym gardłem, zawrócili na granicę polsko-węgierską. Było to kolejne tragiczne przeżycie, bo każdy sobie zdawał sprawę z tego, że nie można wrócić do kraju, by wspomóc tych, którzy tam pozostali.

Na Węgrzech, na stokach Karpat rozbrojono ułanów w wiejskim gospodarstwie, gdzie odebrano im broń i amunicję. Następnie przez około 2–3 tygodnie maszerowali przez Karpaty do Budapesztu. Na miejscu odebrano ułanom konie i pociągami wysłano ich do obozu dla internowanych do miejscowości Fertesent Miklos Bregenz Major położonej pod Balatonem. Żołnierze zakwaterowani w oborach i stodołach trenowali kondycję bojową, aby być cały czas w gotowości. Po tygodniu, gdy nadarzyła się okazja, prapradziadek z trzema kolegami uciekł z obozu. Ucieczka powiodła się, lecz patrol węgierski złapał ich pod granicą jugosłowiańską. Zostali odstawieni znowu do obozu.

Po trzech tygodniach przewieziono prapradziadka pod dzisiejszą granicę Austrii do niemieckiego obozu jenieckiego w miejscowości Kaisersteinbruch Bruck an der Leitha. Prapradziadek został osadzony w więzieniu, bo był podejrzany o szpiegostwo, gdyż zapisywał po niemiecku nazwę miejscowości i adres obozu. Nawet zawisła nad nim groźba rozstrzelania, ale zwolniono go po dziesięciu dniach z powodu znajomości języka niemieckiego. W obozie był do roku 1941. Następnie udało mu się powrócić do Poznania.

Otóż przed wojną prapradziadek z żoną Stanisławą z domu Wojtyniak i dwojgiem ich dzieci Wojciechem (tata mojej babci Barbary) i Leoną mieszkali na ul. Głogowskiej w Poznaniu. Z Gloguer Strase 27/33 w grudniu 1939 roku Niemcy wyrzucili praprababcie Stanisławę (prapradziadek był na wojnie) i osadzili najpierw w Lager Główna, tzn. niemieckim obozie wysiedleńczym na obecnej ul. Główniej i stamtąd wraz z dziećmi została przesiedlona do Radomska, a potem rodzina z Rzeszowa ściągnęła ją do tego miasta, gdzie bardzo ciężko pracowała,

żeby zarobić na kawałek chleba. Dom, w którym mieszkali prapradziadkowie w Poznaniu, został zasiedlony najpierw przez Niemców, a po wojnie – przez Polaków. Po powrocie z obozu prapradziadek poszukiwał rodziny. Od swojej matki dowiedział się o losach żony i dzieci. Kiedy ją odnalazł, starał się przez rok, żeby wróciła do Poznania. Jednak nie było takiej możliwości, toteż pojechał do Rzeszowa. Tam wstąpił do oddziału Armii Krajowej. Żołnierze AK prowadzili w różnych formach działalność sabotażową na podległym im terenie. Głównie drukowali gazetkę, która mobilizowała Polaków do przeciwstawiania się okupantowi. Pod sam koniec wojny po złapaniu jednego z członków AK prapradziadek musiał oddać maszynę drukarską nieznanemu mu osobie zgodnie z podanym hasłem i odzewem.

Gdy Rosjanie wkraczali do Rzeszowa, AK-owcy zmuszeni byli przekazywać zakłady i obiekty w ich ręce. Starali się też ratować różne obiekty przed zniszczeniem przez Sowietów – co się na szczęście udało w przypadku fabryki samolotów, którą Sowieci chcieli wysadzić. Jeden żołnierz AK wiedział, gdzie przebiegały linie napięcia i jak były rozmieszczone lonty. Poprzecinał je i dzięki temu fabryka przetrwała.

Po zakończeniu wojny, jak tylko było możliwe, prapradziadek z rodziną wrócił do Poznania, aby na nowo ułożyć sobie życie. Dom ocalał, ale to były czasy, że ludzie zasiedlali wolne mieszkania i w takim jednym lokalu mieszkało kilka rodzin. Prapradziadek nie mając pracy, przeniósł się do Wronek, w których mieszkał z rodziną do 1952 roku. Znalazł stałą pracę w warsztatach więzienia dla więźniów politycznych. Tam też urodziły się kolejne jego córki: Małgorzata, Barbara i wspomniana już przeze mnie ciocia Marysia. Za pomoc, paczki i ubrania dla więźniów sam został aresztowany i przewieziony do Poznania.

W 1952 zamieszkał z rodziną w Poznaniu na Wildzie w domu razem ze swoimi rodzicami. Prapradziadek powrócił do zawodu złotnika w Firmie Kruka, a potem do emerytury pracował w Spółdzielni Jubilersko-Złotniczej „Rytosztuka” w Poznaniu. Prapradziadek zmarł 7 listopada 1972 r. w Poznaniu. Został pochowany na cmentarzu parafialnym Bożego Ciała w Poznaniu.

Dzięki nagraniu mojej babci Barbary mogłam usłyszeć niesamowitą historię swojej rodziny. Dowiedziałam się dużo więcej, niż gdyby pozostały po prapradziadku tylko zdjęcia. Pewnie gdyby tak było, spójrzałabym na zdjęcie i tyle, a tak wzbudziło to we mnie ciekawość że mogłam o tym porozmawiać z babcią, zadzwonić do cioci i uzyskać jeszcze więcej informacji. Myślę, że prapradziadek byłby szczęśliwy,

że kolejne pokolenia dowiadują się z „pierwszej ręki” o losach swoich przodków. Pewnie moje dzieci też kiedyś usłyszą głos z przeszłości. Postaram się, żeby nagranie przetrwało jak najdłużej w naszej rodzinie, bo to niesamowita pamiątka, a najważniejsze, by pamięć o ludziach, którzy przeżyli wojnę, nigdy nie zagięła. Miejmy nadzieję, że o skomplikowanych wojennych losach będziemy dowiadywać się nie tylko na lekcjach historii, ale z rodzinnych pamiątek, które świadczą o tym, że najbliżsi żyją nie tylko we wspomnieniach przedstawicieli danej rodziny, lecz w pamięci pokoleń wielu Polaków. Mój prapradziadek w każdym momencie swojego życia był patriotą, nie tylko podczas wojny. Jestem niezwykle dumna z prapradziadka i moich korzeni. Obyśmy nigdy nie doświadczyli wojny! Jestem przekonana, że nigdy nie wolno nam zapomnieć o ludziach, którzy walczyli o to, żebyśmy to my mogli teraz spokojnie żyć w wolnej Polsce.